

*Idealna lektura dla miłośniczek mocnych wrażeń  
i dzikich leśnych ostępów...*

# MĘSKI OBOWIĄZEK

ANGELA WĘCKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Szymon Szwajger

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/mesobo>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-8120-9

Copyright © Angela Węcka 2021

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

# Spis treści

Rozdział I • 7

Rozdział II • 19

Rozdział III • 31

Rozdział IV • 39

Rozdział V • 45

Rozdział VI • 51

Rozdział VII • 59

Rozdział VIII • 65

Rozdział IX • 73

Rozdział X • 79

Rozdział XI • 87

Rozdział XII • 99

**Rozdział XIII • 107**

**Rozdział XIV • 115**

**Rozdział XV • 125**

**Rozdział XVI • 139**

**Rozdział XVII • 145**

**Rozdział XVIII • 153**

**Rozdział XIX • 159**

**Rozdział XX • 171**

**Rozdział XXI • 179**

**Rozdział XXII • 185**

**Rozdział XXIII • 199**

**Epilog • 205**

**Wiadomość od Węckiej • 209**

# 1.

Samochód najpierw zrobił slalom, a później ostro skręcił w bok. Prawie uderzyłam głową o kierownicę, gdy pojazd wylądował w hałdzie piachu. To i tak dobra wiadomość — mogłam skończyć na drzewie.

I naprawdę się przestraszyłam. Nie tego, że zrobię sobie krzywdę, ale tego, że przyjazd w nieznaną dzicz do wsi letniskowej zabitej dechami nie był dobrym pomysłem na przyszłe życie.

Podniosłam głowę i ułożyłam się wygodniej na miejscu kierowcy, udając, że nic się nie stało. Serce biło mi szybko, zaczęłam się dusić — koniecznie potrzebowałam świeżego powietrza. Z ledwością wysiadłam z pojazdu, zakreśliło mi się w głowie. Nie upadłam jednak, choć nogi się pode mną ugięły. Oparłam się o samochód, nie chcąc patrzeć na miejsce niespodziewanego wypadku.

Uspokoiłam się dopiero po długich minutach. Rozejrzałam się dookoła, szukając jakiejś żywej duszy. Jednak na leśnej drodze w Borach Tucholskich mogłam spodziewać się co najwyżej sarny, dzika, ewentualnie wilka. Dopiero po chwili zorientowałam się, jak głęboko zakopałam samochód w piachu. Niewiele myśląc, zaczęłam go odkopywać. Nawet nie wiedziałam, dlaczego to robię, ale musiałam wykonać jakiś ruch, inaczej umarłabym na miejscu na zawał.

Kiedy wsiałam z powrotem do auta i odpaliłam go, zaczęłam poważnie panikować. Po kilku nieudanych próbach wyjechania z piachu samochód zakopał się jeszcze bardziej. Znów wyskoczyłam z pojazdu i zaczęłam kopać, poświęcając pięknie utrzymane paznokcie. Dotarło do mnie, że spieprzyłam. Wszystko spieprzyłam. Już z niczym sobie nie poradzę.

Bezradna, oparłam się plecami o tył samochodu i wyjęłam komórkę. Bezskutecznie próbowałam uzyskać połączenie — na tym zadupiu nie było mowy o zasięgu. Bożena mnie przed tym przestrzegала, a ja? Jak

zwykle zignorowałam to, co mówiła, zaślepiona przez wizję rzucenia wszystkiego i wyjechania na bezpieczne, zupełnie różne od Warszawy, Kociewie. To miały być długie, długie wakacje. Nowa szansa. Odpoczynek i nabranie nowych umiejętności survivalu w terenie, który znałam z opowieści matki.

Nagle moją uwagę przykuł warkot silnika. Automatycznie spojrzałam w drugą stronę i dostrzegłam zbliżający się samochód. Zaciśnęłam wargi. Lęk, że przyjedzie policja i odbierze mi dopiero co uzyskane prawo jazdy, był silniejszy niż zdrowy rozsądek. Chociaż kilka dni temu stuknęła mi na karku trzydziestka, w moim dorosłym życiu brakowało wielu pożądanych przez tłum elementów, takich jak: najdroższy model auta, prawo do przyspieszania na grząskim terenie dwunapędowym suvem kupionym z drugiej ręki za oszczędności, a także rodziny, faceta, dziecka. Nawet żadnej kobiety nie miałam na oku, całkowicie skupiłam się na rozwoju swojej firmy. Teraz żałowałam, że jestem sama — i jeśli jedzie do mnie jakaś straż leśna, to mam przerąbane. *Spokojnie, Jagoda*, powtarzałam sobie. *Dasz radę*.

Na szczęście los na leśnej drodze postawił zwykły samochód osobowy. Nie wiedzieć czemu wsiadłam do swojego, który niebezpiecznie przechylił się do przodu. Kurczowo złapałam za kierownicę i wyszłam dopiero wtedy, gdy obok drzwi stanął jakiś przerażony chłopak. Skrzywiłam się do niego, bo o uśmiechu nie było mowy, i otworzyłam drzwi. Dobra ze mnie aktorka, nie ma co.

— Żyje pani? — zapytał grobowym głosem. Na jego policzkach i szyi powoli pojawiały się czerwone plamy, pewnie oznaki zdenerwowania. Żona lub dziewczyna stanęła dużo dalej, była w zaawansowanej ciąży. Machnęłam ręką.

— Tak. Po prostu... jakoś straciłam panowanie nad kierownicą.

— Może po kogoś zadzwonić, pomóc? — pytał dalej nieznajomy. Już wyciągał telefon, ale ja szybko zareagowałam.

— Nie! — odpowiedziałam, może zbyt głośno, bo go spłoszyłam. Chłopak wycofał się.

Znów próbowałam się uśmiechnąć, zaklinając go w myślach: *przekonaj się, że nic mi nie jest, spierdalaj, przekonaj się, że nic mi nie jest, spierdalaj!*

Wiedziałam, gdzieś w głębi duszy czułam, że jego stary ford focus nie wyciągnie mnie z tego ambarasu i trzeba będzie zadzwonić po pomoc drogową. Tego też za wszelką cenę chciałam uniknąć. Prawko miałam stosunkowo krótko — wystarczająco krótko w dobie obecnych przepisów dla młodych kierowców. Jedna taka wpadka mogłaby mnie kosztować powtarzanie czegoś z egzaminu. Chciałam tego uniknąć za wszelką cenę. Ledwo zdobyłam ten cholerny dokument! Pomyślałam, że zastanowię się nad tym później. Działalam irracjonalnie, ale instynktownie. Może w wiosce, która była dwa kilometry dalej, znajdę kogoś, kto mi po cichu pomoże?

Facet ustąpił i wraz z ciężarną wrócił do swojego pojazdu. Pojechali dalej, a ja nie odprowadziłam ich wzrokiem. Nie chciałam spojrzeć im w twarz. Odetchnęłam, gdy warkot silnika ucichł, i znów wróciłam do pytania: co ja teraz, do cholery, mam ze sobą zrobić?

Uciec?

Próbować dalej się zakopywać, aż uszkodzę hamulec lub skrzynię biegów? Po ostatnim odpaleniu samochodu i próbie wyjechania z piasku miałam problem z zaciągnięciem hamulca. Jeszcze tego mi brakowało. Musiałam podjąć męską decyzję, czy jak to się tam mówi. Musiałam zadziałać. Oparłam się o maskę i zaczęłam oddychać, przypominając sobie zalecenia terapeuty. Wdech, wydech. Ogarnij się, Jagoda, przecież to potrafisz.

Poszłam więc do wioski.

Wzięłam ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy — uznałam, że jeśli ktoś w środku wioski ukradnie mi torbę z przyborami do pracy i ciuchami, to najwyżej kupię sobie nowe. I tak brałam głównie robocze ubrania, ładniejszą sukienkę miałam na sobie. Niewiele myśląc, rozstałam się przezornie trójką i ruszyłam drogą, którą przyjechałam.

\*\*\*

Gdy dotarłam do wioski, bolał mnie kręgosłup od dźwigania sporej torebki, w której trzymałam mały laptop i kilka osobistych pierdół. Spociłam się, włosy mi oklapły, humor umarł. Miałam ochotę położyć się i umrzeć w jednej chwili, ale nie byłabym wtedy sobą. Ja tak łatwo się nie poddam. I chociaż sytuacja była całkowicie nowa, to wiódł mnie

instynkt przetrwania. Instynkt, który mieli moja babka i mój dziadek, którzy przez pół życia żyli na własny rachunek z ogródka, studni i pracy własnych rąk. Instynkt Worytków, który nie pozwala siedzieć i płakać — chociaż naprawdę miałam na to wielką ochotę. Chciałam się rozkleić na środku ścieżki między ogromnymi drzewami i wypłakać — i to nie tylko z powodu wypadku, ale również przez ostatnie wydarzenia w moim życiu. Nagromadzony stres właśnie znajdował ujście, ale znów go przyblokowałam. Maszerowałam dalej, chociaż nogi bolały mnie tak samo jak krzyż. Gdy zobaczyłam pierwsze domki, prawie jęknęłam.

Weszłam do wiejskiego sklepu — już w nim byłam dwa dni temu, gdy zwoziłam do starego domu dziadków swoje większe meble. Sklep... Jednak to zbyt wielkie słowo. We Wdzie było to niewielkie pomieszczenie, w którym zmieściło się pięciu roślących chłopów, a reszta klientów musiała czekać na zewnątrz. Obok wejścia znajdowały się witryny chłodnicze z kilkoma rodzajami serków i serów, a także jakimś mięsem i szynkami. Po drugiej stronie piętrzyły się owoce — w różnych, w większości dobrych cenach. Było też mnóstwo alkoholu — butelki dumnie wystawały ponad głowy sprzedającej i kupujących, jakby chciały powiedzieć: *beze mnie stąd nie wyjdiesz*. I faktycznie. Widziałam, jak dwie na trzy osoby robiące szybkie zakupy na samym końcu sięgają po najróżniejsze flaszki.

Kiedy nadeszła moja kolej, ekspedientka obrzuciła mnie znudzonym spojrzeniem. Było lato, letnicy rozjeżdżali się po okolicznych wsiach letniskowych — nie robiłam więc na niej żadnego wrażenia. Dłuższe spojrzenie zatrzymała na mojej twarzy i zrobiła dziwny gest ręką. Być może się rozmasałam. Pokręciłam głową, prawie niedostrzegalnie, i nachyliłam się nad blatem.

— Potrzebuję jakiegoś mechanika — powiedziałam szybko. — Samochód mi się rozkraczył na drodze, a nie mam czasu czekać na pomoc drogową.

— Dobra myśl — powiedziała sprzedawczyni i mlasnęła. — Jo, trzeba iść za róg, skrócić w prawo. Dwa domy dalej stoi Zamojski ze swoim warsztatem. On pomoże za opłatą.

— Dziękuję — rzuciłam i pogrzebałam w torebce. — Można wypłacić tutaj pieniądze?

— Jo! — Kobieta znów odezwała się tą śmieszną kociewską gwarą. Przypomniałam sobie, że gdy byłam dzieckiem, babka mówiła do mnie tak samo. — Ale trzeba coś kupić, inaczej nie pójdzie. Ino minimum dyszka!

Zgodziłam się. Zrobiłam szybkie zakupy, wzięłam dwa pomidory, chleb, opakowanie mleka. Zawsze coś. Spakowałam wszystko do reklamówki, którą mi wręczyła ekspedientka, wzięłam wypłacone stowy i ruszyłam do mechanika.

Po drodze spotkałam grupkę jakichś chłopaków. Nie wiem, czy byli tutejsi, czy jedynie na wakacjach, ale zachowywali się bardziej niż skandalicznie. Jeden z nich rechotał głośno i wskazywał na coś palcem. Spojrzałam w tamtą stronę. Wyśmiewali się z zahukanego dzieciaka, który uciekał przed nimi wraz z małym, ledwo poruszającym się psem.

— Patrz, Kamil, jaki debil! — odezwał się jeden z nich. Zmełłam w ustach przekleństwo; nienawidziłam takich bachorów. Dopiero gdy się zatrzymałam, dostrzegłam, że stoją obok wypasionej bryki. Na bank nie byli tutejsi. Pewnie przyjechali z Gdańska lub z innego dużego miasta.

Jeden z nich spostrzegł, że się im przyglądam i pokazał mi środkowy palec, na co wszyscy się zaśmiali. Może byli podchmieleni. Mnie osobiście to nie ruszyło. Pokręciłam nagannie głową i poszłam dalej.

Dom mechanika był bardziej nowoczesny niż inne budynki we wsi — nie dało się go przeoczyć. Miał spory warsztat, a na placu za nim czaiło się cmentarzysko samochodów. Pojazdy częściowo rozłożono, częściowo zostawiono w całości z otwartymi maskami. Między nimi biegały psy, szczekając na siebie podczas zabawy.

Podeszłam do bramy i zawahałam się. Nie zauważyłam nigdzie domofonu, dlatego po chwili — uzmysłowiwszy sobie, że nie ma na co czekać — weszłam na prywatny teren i w trzech susach doskoczyłam do drzwi. Zapukałam energicznie, czując w sobie resztki adrenaliny. W głowie raz po raz układałam sobie scenariusz rozmowy, tak samo jak przed kontaktem z klientem biznesowym. Pobajeruję go z nadzieją, że i on nie lubi policji ani pomocy drogowej tak samo jak i ja.

Drzwi otworzyły się może po dwóch minutach. Stanął w nich facet z brzuszkiem, który śmiał się jeszcze do kogoś w głębi korytarza. Na jego widok nieco się cofnęłam. Oblediał mnie dziwny, nagły strach.

— Do kogo? — mruknął facet, lustrując mnie wzrokiem. Nie spodobał mi się błysk radochy, gdy zerknął na mój dekolt. Chciałam prychnąć, ale się powstrzymałam.

— Szukam mechanika, potrzebuję pomocy — powiedziałam szybko. Położyłam torby na ziemi, bo nie miałam już siły dłużej ich trzymać. — Podobno tu mieszka.

— Jo, a pewnie! — Facet najwyraźniej dobrze się bawił, stojąc w przejściu. — Zawołam go zaraz. Ino się tylko napatrzę, bo ostatnio na naszych wsiach mamy wysyp świętnych kobiet!

Chciałam coś powiedzieć, ale zmełam przekleństwo. Obok niego chciał się przecisnąć jakiś chudy, dużo młodszy koleś, ale grubas nie ruszał się z miejsca.

— Co tam, sołtysie, no co tam? — zapytał nerwowo, gdy gruby w końcu go przepuścił. Spojrzał na mnie, powieka mu drgnęła. — Tak?

— Mam problem, zakopałam się w połowie drogi do Smolnik — powiedziałam na jednym wydechu i poprawiłam kieckę. Facet nazwany sołtysiem patrzył na mnie uważnie małymi oczkami, a ja nie wiedziałam, jak się zachować. Ten wyjazd zapowiadał się naprawdę fatalnie, a było już tak dobrze!

— Okay, a dlaczego pani nie zadzwoniła?

— Brak zasięgu to jedno. Poza tym chcę jak najszybciej dostać się do domu. Proszę mi pomóc, zapłacę.

— Ja z nią pojadę, a wy dokończcie robotę, panowie. Zamojski, jak naprawisz mi tego quada, to będę wdzięczny. I tak jechałem już do leśniczówki. Miłego!

Obydwaj — i mechanik, i sołtys, odsunęli się od wejścia na tyle, aby kolejny mężczyzna mógł wyjść. Różnił się od nich, i to bardzo. Na sobie miał jakiś zielony mundur, a na głowie czapkę. Popatrzył na mnie zielonymi, dużymi oczami — nigdy nie widziałam u faceta tak pięknego koloru oczu! Nie uśmiechnął się, nawet nie patrzył poządlwie. Kiwnął głową i wskazał samochód, który stał przed bramą.

— Proszę wejść, pomogę pani. Zamojski, hak jest w środku?

Mechanik kiwnął głową.

— Tylko oddaj pojutrze, bo jak sąsiad znów zakopie traktor, to szlag mnie trafi z tym jeżdżeniem w kółko.

Facet w mundurze kiwnął głową i wyszedł przed dom. Poszłam za nim bez słowa, zarzucając torbę na ramię, a w drugą rękę biorąc zakupy. Zanim jednak doczłapałam do samochodu, mężczyzna otworzył mi drzwi i w milczeniu odebrał ode mnie graty. Byłam tak zmęczona, że nie oponowałam. Głos w głowie podpowiedział mi, że facet może mnie teraz zabić w lesie. W końcu jadę z nieznajomym, ale dziwnie zareago- wałam na mundur. Chyba nie mógł być jakimś seryjnym zabójcą, będąc... kim? Leśnikiem?

Cholera? A jak jest jakąś strażą leśną!? Tylko w cywilnym ubraniu?

Zatrzymałam się w pół kroku, otworzyłam gębę. Mężczyzna popę- dził mnie gestem.

— Wsiada pani?

— Kim pan jest?

— Niech pani wsiądzie, to powiem — odezwał się niecierpliwie mężczyzna. — Mam jeszcze kupę roboty.

Jezu. Zrobiłam to, co rozkazał. Zapadłam się w wyjątkowo miękkii fotel wysokiego samochodu terenowego. Nie miałam pojęcia, co to za model, ale zrobił na mnie spore wrażenie. Środek pachniał skórą, a po włożeniu kluczyka do stacyjki uruchomił się niewielki komputer po- kładowy, mówiący do kierowcy po angielsku.

— Koło Smolnik się pani rozkraczyła? — zapytał, ignorując moje wcześniejsze pytanie.

Kiwnęłam głową. Nie byłam w stanie zbyt wiele z siebie wydusić. Nie patrzyłam na faceta, zdając sobie sprawę, jak wyglądam — bo chę- nie spojrzałam w lusterko. Faktycznie rozmazałam sobie tusz, ale prze- jechanie wilgotną dłońią po oku jeszcze bardziej zniszczy mój make up.

— Jak to się stało? Nie jechała pani uważnie?

Znów chciałam prychnąć, zaoponować, kazać mu spadać. Stało się, to się stało, ale jego ubiór i postawa sprawiły, że milczałam jak dziecko, które zrobiło coś bardzo złego. Postanowiłam uchylić rąbka tajemnicy.

— Na tej piaszczystej drodze straciłam panowanie nad pojazdem — wyznałam zgodnie z prawdą. Nie musiałam do tego dodawać, że, owszem, popisywałam się sama przed sobą szybką jazdą między wieloletnimi drzewami.

— No, to czasami jest łatwe — stwierdził i wrzucił migacz. Wyjechaliśmy szybko z bocznej uliczki, kierując się w stronę lasu. Przy ostatnich domkach człowiek miał wrażenie, że wjeżdża do zupełnie innego świata. Tutaj panowała natura, nie cywilizacja. Nie mogłam się doczekać, aż znów zobaczę wioskę, która dosłownie z każdej strony otoczona jest Borami Tucholskimi. Nie da się z niej tak łatwo uciec bez samochodu, co mnie jednocześnie cieszyło i przerażało.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. A jeśli samochód się zepsuł na amen? Jeśli będę i tak zmuszona do kontaktu z pomocą drogową? Modliłam się cicho, aby tak się nie stało. Aby nie takie znów stare auto jednak odpaliło, abym usłyszała przyjemne powarkiwanie jego silnika. Żałowałam, że nie mam tak dobrego auta, jak to, którym wiozł mnie nieznajomy. Znów przyjrzałam się jego mundurowi. Oświeciło mnie dopiero wtedy, gdy dotarłam do emblematów. A raczej dystynkcji wyszytych na kołnierzyku. Nie umiałam ich rozpoznać — miałam jedynie mgliste pojęcie o tym, co oznaczają. Lubiłam mundury, dlatego długo i niegrzecznie gapiłam się na mężczyznę. To chyba go zdenerwowało.

— Letnik? — rzucił cicho, jakby chciał, abym skupiła się na czymś innym. Od razu spojrzałam na drogę, analizując to, co powiedział.

— Na ten moment tak — odpowiedziałam, uznając, że to najlepsza odpowiedź. Sama nie wiedziałam, ile czasu tu zostanie, zwłaszcza że sam początek lata zapowiadał się... po prostu niebezpiecznie. — A po lecie się zobaczy.

— W Smolnikach będzie pani urzędować?

Kiwnęłam twierdząco.

— Mam tam domek po dziadkach. Mieszkali w nim z przerwami kilkadziesiąt lat, potem na chwilę wrócili do wielkiego miasta i wyjechali ponownie. Umarli, a domek stał pusty przez jakieś dziesięć lat z hakiem — opowiadałam, sama nie wiedząc dlaczego. Dreszcze ustały, niemniej im bardziej zbliżaliśmy się do miejsca wypadku, tym bardziej

robiło mi się niedobrze. Bałam się trochę reakcji nieznajomego na to, co zobaczy.

Ale on nic nie powiedział. Uśmiechnął się tylko lekko na dosłownie sekundę, po czym spojrzał na mnie. W jego oczach dostrzegłam rozbawienie.

— Jak pani straciła panowanie nad pojazdem? — zadał pytanie, a ja jakbym zapadła się w sobie. Czyli mnie przejrzał.

— No, jak widać — mruknęłam cicho, ale mężczyzna pokręcił głową i zatrzymał samochód na środku drogi, kilka metrów od mojego.

— Dobra, damy radę — powiedział i wysiadł. Zrobiłam to samo i przesłam na jego stronę. Nieznajomy zdjął marynarkę i krawat, został w koszuli i brązowych szelkach. Miał dłuższe, raczej jasne włosy związane w kitkę oraz elegancko utrzymaną brodę, którą czas przyprószył gdzieś tam siwizną. Patrzyłam na niego w milczeniu, pozwalając sobie na oględziny. Założyłam ręce na piersi. Jak na leśnika wyglądał naprawdę nieźle. Zawsze wyobrażałam sobie leśników jako wiekowych panów z brzuszkiem, zaniedbanych, raczej brzydkich. Tutaj miałam hipstera pełną gębą. Nie umiałam jednak określić jego wieku.

— Urzęduje pan w pobliskiej leśniczówce? — palnęłam, nie mogąc się powstrzymać.

— Owszem — rzucił tylko i zamknął drzwi. Przeszedł do tyłu. — W Bojanowie, około dwóch kilometrów od Smolnik. W środku lasu, przy wyjeździe na drogę szybkiego ruchu. Gdyby miała pani jakiś inny problem niż auto w piaszczystej zaspie, serdecznie zapraszam.

Odchrząknęłam, ale nic nie powiedziałam. Faceta chyba bawiło to, co zobaczył, pewnie bardziej, niż się spodziewał. Poglądziłam swoje ramiona.

— Niech pani wsiądzie i sprawdzi, czy hamulec jest zaciągnięty. I proszę wrzucić na luz.

— Ale ja jestem spokojna... — zaczęłam mówić, na co on się roześmiał.

— Ale mnie chodzi nie o to — odrzekł i wyjął hak ze sznurem. — Ale o samochód.

— Ach...

Przygryzłam wargę i zarumieniłam się. W kilku susach dopadłam do samochodu, aby ukryć zażenowanie. Generalnie nie byłam taka jak dziś — łapałam w lot różne gry słowne, ale głównie wtedy, gdy byłam na swoim terenie, czyli w pracy. Potrafiłam z nieskładnych słów klienta złożyć projekt jego marzeń. Odcinałam złośliwości kilkoma wyrazami. Teraz jednak byłam w nowym, wręcz obcym świecie. Odetchnęłam, siedząc w samochodzie. Dopiero po chwili do mnie dotarło, że nie mogę ruszyć hamulcem. Ciągnęłam go z całej siły, ale energia już dawno ze mnie uszła.

— Pomogę — mruknął leśnik, który nagle znalazł się obok mnie i stanął w otwartych drzwiach. — Głęboko pani wjechała w ten piach.

Nachylił się nade mną. Nie przeprosił, gdy jego ramię musnęło moje piersi. Wciągnęłam jego zapach, ciężki, mocny, piżmowy. Nietypowy. Zarumieniłam się jeszcze bardziej. Nie zdążyłam zareagować — hamulec został zwolniony.

Wysiadłam bez słowa. Całe przedstawienie trwało jeszcze chwilę. Leśnik machnął na mnie ręką, abym odsunęła się na sporą odległość, i to zrobiłam — jego terenówka szybko i bez problemów szarpnęła suwem. Samochód, niekontrolowany przez nikogo, prawie we mnie wjechał. Wciągnęłam powietrze i odskoczyłam jeszcze dalej.

— Dobra, mamy go! — Leśnik ucieszył się z efektów swojej pracy, a następnie wyjął moje torby ze swojego samochodu. Włożył je bez zbędnego komentarza do bagażnika i sam wsiadł za kierownicę mojego pojazdu.

Biały suv odpalił. Silnik chodził jak dawniej, ale ja nadal byłam sparalizowana. Ilość odczuć w mojej głowie sprawiała, że przestałam myśleć samodzielnie. Automatycznie podeszłam do miejsca kierowcy i nieznajomy wpuścił mnie do środka. Wsiadłam, zapięłam pas, ale zanim na dobre odjechałam, podziękowałam mężczyźnie cichym głosem.

— Nie wiem, jak mogę się odwdzińczyć, panie...

— Tiede. Konstanty Tiede, ale w wiosce będą mówić na mnie po nazwisku — odpowiedział uprzejmie, ale nie poczekał na odpowiedź. Od razu zamknął mi drzwi i poszedł do swojej terenówki.

— Jestem Jagoda... Jagoda Worytko — powiedziałam sama do siebie, po czym jęknęłam. Wrzuciłam bieg i odjechałam pierwsza.

Widziałam, że jedzie za mną, kilkadziesiąt metrów dalej. Znikał za drzewami, aby po chwili znów się między nimi pojawić — w końcu skręcił w zupełnie inną stronę, a ja sama nie wiem, jakim cudem dotarłam do domu moich dziadków. Dopiero wtedy zaczęłam płakać, wyrzucając z siebie nagromadzone emocje.



## 2.

Pierwszy tydzień w nowej rzeczywistości nie był dla mnie łaskawy. Burza, która zerwała się kolejnego dnia po wypadku, dosłownie zmiotła z podwórka nowe krzewy, w które zainwestowałam pieniądze. Odnowiłam też domek — a raczej zleciłam to fachowcom, którzy okazali się być... tępymi idiotami.

W łazience odpadał tynk i płytki były ułożone nierówno, na tak zwane „odwal się i płac gruby hajs”. Widocznie panowie nie chcieli tracić czasu na dokładne wykonanie pracy, a pracując bez nadzoru, machnęli ręką na efekt. Moja znajoma zaręczała, że można na nich liczyć — ale ja się totalnie przeliczyłam. I przepłaciłam. Jedyne, co na plus, to uprzątnęli z grubsza bajzel w garażu. Dostałam informację, że w tym pomieszczeniu dosłownie przeszedł tajfun — jako dowód wysłali mi zdjęcie. Na fotografii wszystkie stare rzeczy: opony, przedmioty do ogrodu, jakieś książki leżały na ziemi. Poukładali wszystko do pudeł, które tam stały, więc chociaż tyle z siebie dali.

Westchnęłam, patrząc w lustro. Zanotowałam w pamięci, aby opieprzyć Magdę, jak tylko zdołam podłączyć antenę, dzięki której zdobędę dostęp do sieci Internet. Tak, słowo „zdobędę” wcale nie jest na wyrost. W tej wsi zabitej dechami nie było absolutnie żadnego zasięgu. Gdy przyjechałam tu po raz pierwszy, sieć łąpałam jedynie w dolnej części wsi, przy świeżo odnowionej świetlicy wiejskiej. Dzięki temu upewniłam się, że gość od anteny przyjedzie i tego samego dnia pomoże z całym tym ambarasem. Montera poleciła mi nowo poznana sąsiadka — przyjechała na wakacje do jednego z domków. I to akurat była doskonała polecajka. Chłopak przyjechał, wszedł na drabinę, zamontował antenę i pociągnął kable. Łatwo, szybko, profesjonalnie.

Pokręciłam głową i ochlapałam twarz zimną wodą. Była żółta, pachniała krwią. Nie dlatego, że faktycznie miała z nią coś wspólnego — po prostu zawierała dużo żelaza. Jęknęłam, uzmysłowiwszy sobie, że nie wzięłam z Warszawy dzbanka z filtrem. Będę musiała go kupić.

Umyłam twarz i poprawiłam włosy. Z przyzwyczajenia nałożyłam lekki makijaż. Miałam zamiar cały dzień kopać w ogródku i posadzać roślinki, które uchowały się od deszczowej masakry. Potem obiecałam sobie dokończyć sypialnię — nadal nie złożyłam ramy łóżka, którą przygotowałam w swojej pracowni z resztek drewna. Byłam w końcu rzemieślnikiem. Uzdolniona artystycznie córka tragicznie zmarłego stolarza artysty podbiła warszawski światek swoimi „dizajnerskimi” pomysłami. Wraz ze swoją ekipą planowałam i produkowałam elegancie krzesła, półki na książki, stojaki. Oprócz tego oferowałam ślubną papeterię, zakładki na każdą okazję oraz kilka innych pierdół. W internetowym i stacjonarnym świecie miałam produkty niedocenianych artystek, które same nie mogły się przebić. Ja mogłam. Mnie się udało, między innymi dzięki tacie, z którym pracowałam od najmłodszych lat. Po trzydziestych urodzinach miałam jednak dość tego, co robiłam. Tego, co osiągnęłam. Musiałam coś zmienić w swoim życiu. Musiałam uciec z Warszawy. Miałam dość wszystkiego, co na mnie spadało. Chociaż nieźle radziłam sobie z pracownikami, to i tak byłam jedyną osobą decyzyjną w firmie. No cóż, częściowo się wypaliłam.

No i jestem tutaj.

Spojrzałam w lustro po raz ostatni. Założyłam stanik i narzuciłam na siebie prostą sukienkę zapinaną z przodu. Poprawiłam kołnierzyk i wyszłam, ciesząc się pięknym słońcem. Chociaż byłam przyzwyczajona do różnych prac, grzebania w ziemi jeszcze nigdy nie doświadczyłam. Przezornie wydrukowałam sobie instrukcję wsadzania zakupionych kwiatów, których nazwy nie mogłam zapamiętać. Zostały jeszcze zioła, a raczej smętne, nieco podłamane przez ulewę łodyżki. Zamierzałam wsadzić je do skrzynki, którą zbiłam podczas pierwszego czy drugiego przyjazdu — była idealna na świeże przyprawy.

Nie martwiąc się stanem sadzonek, wzięłam się do roboty. Śpiewałam coś pod nosem, jakąś polską, popową i popularną piosenkę.

Słońce świeciło mi wprost na słomkowy kapeluszy, który założyłam. Zastanawiałam się, jak szybko do tej wsi zabitej dechami przyjechałaby karetka. Czy będzie to pół godziny, czy dwie godziny? A może kwadrans? Czy w ogóle się dodzwonię? Pokręciłam lekko głowę, śmiejąc się w duchu z samej siebie. Przecież właśnie do tego chciałam uciec. Do samotni, chociaż na jakiś czas. Chociaż na kilka miesięcy.

Może rok.

Pracowałam w skupieniu. Nieprzyzwyczajona do tak dużej ciszy, co jakiś czas zerkałam na dom sąsiadki. Co prawda w okno jej zajrzeć nie mogłam, ale plac był doskonale widoczny. Nigdzie nie widziałam kobiety — a zdążyłam się już z nią zapoznać i powiedzieć, że na pewno posiedzę tu przez całe wakacje.

Byłam oszołomiona śpiewem ptaków, szumem wiatru. Nie słyszałam żadnych samochodów — dobiegało do mnie jedynie echo śmiechów oraz imprez letników. Stali mieszkańcy Smolnik raczej stronili od głośnej muzyki i tańców. Widziałam, że wolą przesiadywać przed małym sklepikiem po drugiej stronie jeziora. To właśnie tam miałam zamiar dziś się udać, jak tylko znudzę się zabawą w ogródku. Zanim jednak ruszyłam dalej z robotą, przydybała mnie sąsiadka. Wchodziła na swój plac i dostrzegła pewnie mój kapeluszy.

— Pani Worytko! — zawołała z daleka. Na dźwięk głosu Lipskiej jakieś ptaki poderwały się do lotu. — Co tam w ziemi?

Wstałam i otrzepałam ręce o fartuszek, który zawiązałam sobie na biodrach. Poprawiłam nakrycie głowy i podeszłam do ogrodzenia. Przywitałam się ciepło z kobietą. Miała na oko pięćdziesiąt lat, może więcej. Ubierała się raczej po miejsku — dobrze dobrane jeansy, flanelowa koszula, ciemne buty sportowe, nie markowe. Miała ciepły uśmiech, ale patrzyła na mnie z niepokojem. Była jedną ze stałych mieszkanki Smolnik, o czym na samym początku z dumą mi wspomniała.

— A w ziemi dużo dobroci będzie — odpowiedziałam. — Wsadziłam trochę ziół do przygotowanych skrzynek. Kwiatów. Nie wiem, co z tego wejdzie, bo deszcz i wiatr mogły całkowicie zniweczyć moje oczekiwania.

— Ano, wichura była jak to u nas w czerwcu — potaknęła i zamysliła się. Położyła sobie wskazujący palec na brodzie, spojrzała w niebo. Popatrzyłam za nią w górę, zastanawiając się, co tam widzi. Ładna pogoda, ładny widok, zero chmur. Jeszcze niedawno nie było tak letnio.

— Uwielbiam tu być — szepnęłam. — Nawet pomimo nagłego zafłamania pogody jestem zadowolona.

— Jo, dopiero zobaczysz, jak tu uroczo — powiedziała kobieta i przestąpiła z nogi na nogę. Znowu niepewnie patrzyła na mnie dużymi brązowymi oczami. Można by powiedzieć, że dziwnie, bo ta niepewność wcale nie zniknęła. Cały czas trzymała się kobiety, jej wyrazu twarzy. — Czasami też dość nieciekawie, bo ludzie tutaj letników nie lubią. Tylko sołtysowa, ona przepada. Ale Chmurski, Franczek i Maluch, nieee. Oni lubią tutaj jesień i zimę.

Uśmiechnęłam się lekko.

— Chodzi sąsiadce o panów spod sklepiku?

— Ano, o nich. Tylko o nich. I nie sąsiadka — Lipska jestem.

— Nie będę ich zaczepiać — obiecałam, licząc na śmiech rozmówcy. Nic takiego nie nastąpiło, zaledwie uśmiech pojawił się na jej twarzy i zaraz zniknął.

— Uważaj na nich. I posiej szpinak, jeśli o lipcowy ogródek chodzi. Zbiór na jesień, może wczesną, ale szpinak jest dobry na wszystko.

— Dobrze — pokiwałam głową. — Dziękuję. Myślałam jeszcze o kilku liściastych warzywach, może udałoby się je posiać.

— Jeśli zostaniesz tu dłużej... — Kobieta na chwilę zawiesiła głos, jakby chciała mi coś zasugerować. — To pamiętaj o kompoście. Ja tam trochę mam nadwyżki, to sobie weźmiesz. Te chemiczne rzeczy, które masz — wskazała na drewnię, w której z trudem umieściłam worek z biokompostem ze sklepu budowlanego — to taka cienizna. Szósta klasa, piaszczysta ziemia. Nikt jej nie dożywił.

Znowu kiwnęłam, dziękując za radę swoim najszczerzym uśmiechem. I o ile moi klienci na to się łapali, o tyle sąsiadka po prostu wycofała się w głąb podwórka. Przez cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku — dopóki nie dotarła do domu.

Stałam tak chwilę nieruchomo z głupim wyrazem rozbawienia, które szybko zmieniło się w konsternację, gdy zamknęła drzwi swojej chaty. Ludzie w mieście byli mniej otwarci, mniej pomocni. Potrafiliby oczarować człowieka, aby uzyskać to, czego pragnęli. Lubili przytulać się na „cześć” i „na razie”, mogli godzinami nawijać o głupotach — tylko po to, aby podtrzymać konwersację. Trzymali dystans i nie zachowywali się dziwnie.

Westchnęłam, przejeżdżając ręką po karku. Chyba będę musiała przyzwyczaić się do nowych zasad, rządzących wioską.

\*\*\*

Poszłam do smolnickiego sklepu. Obiecałam sobie, że gdy wprowadzę się do nowego domu, zacznę jeść tanio i zdrowo. Moje ostatnie koszty życia przerosły oczekiwania — nie chciałam dłużej żyć tylko po to, aby zarabiać pieniądze. Trzydzieści lat to taki wiek, w którym muszę po prostu się ogarnąć. I to nie dla matki oraz świętej pamięci ojca. Po prostu dla siebie. Aby mnie nikt palcem nie wytykał. Aby sama ze sobą czuła się dobrze.

Nie chciałam jednak od razu szukać sobie jakiegoś chłopca, wyprawić hucznego ślubu po roku. Z całą pewnością rezygnowałam z małżeńskich oków na rzecz singielstwa. To było zamierzone działanie, bo miłość jest źródłem niepowodzeń, upokorzeń i ignorowania własnych potrzeb.

Potrzebowałam czegoś innego niż wiecznie narzekające znajome, pracownice i przypadkowe kobiety, z którymi chodziłam na randki. Spotkania z facetami zarzuciłam na pół roku ze względu na mierne wyniki poszukiwań.

Gdy w pracy miałam kociół, wyobrażałam sobie, że jestem od tego wszystkiego daleko. Siedzę w buszu, jak kiedyś z ojcem, siedzę i rzeźbię z drewna wspaniałe rzeczy. Spełniam się artystycznie. Żyję, ale jakoś inaczej. Szybko sięgnęłam po poradniki typu *slow life* lub inne pieprzone gówna podobnego wymiaru. W każdej lekturze czytałam o genialnych sposobach autorów na zerwanie z korpo i wyjazd w Bieszczady. Ja wybrałam Bory Tucholskie. Połączyłam marzenia z możliwościami. Jak zawsze

trafiłam w dziesiątkę, nie licząc problemów na początku. Ugrzęźnięcie w piachu, burza, dziwni sąsiedzi. To są wypadkowe moich działań w celu uzyskania wolności. Muszę je przyjąć na klatę. Nie wiedziałam jednak, co czeka mnie później. Z każdym wydarzeniem traciłam tę pewność siebie, ale robienia dobrej miny do złej gry nauczyłam się już za dzieciaka. Trwałam więc przy tym, wiedząc, że wyjdę na tym lepiej niż gorzej.

Godzinę później poszłam do sklepu, umorusana ziemią — i bardzo mnie to cieszyło. Zrezygnowałam z pięknych ubrań od polskich projektantek, które nosiłam w mieście, na rzecz bojówek z second handu, ogrodniczek szytych na miarę ze starego, wytrzymałego na przetarcia jeansu i letnich sukienek. Marzyłam, aby w nich spacerować nad jezioro, które widziałam od strony ulicy. Zbierałam się do tego dopiero — miałam i tak dość roboty w domu.

Pod sklepem siedziało trzech facetów, nierozłączna trójca od świętej butelki. Nie ruszali się stamtąd przez kilka godzin, wlewając w siebie kolejne litry alkoholu. Szybko bredzili od rzeczy — to za sprawą słońca, przed którym w te wakacje nikt nie mógł się ukryć. Zanotowałam w pamięci, aby po przyjeździe do domku znów posmarować się kremem. Spalona skóra boli mocno, a poza tym musiałam chronić tatuaże na rękach. Panowie je dostrzegli, zanim przekroczyłam próg sklepu.

— Ooo, tatuaże ma panienka — powiedział jeden, chociaż „powiedział” to za duże słowo. Udało mi się coś zrozumieć z pijackiego bełkotu.

— Nie jestem panienką — ofuknęłam go, mrużąc oczy. Spojrzałam na trzech mężczyzn z lekkim obrzydzeniem. Waliło od nich wódką na odległość. — I miłego dnia.

Czmychnęłam do środka, zanim zdążyli coś odpowiedzieć. Jak tylko zrobię zakupy, od razu spadam na chatę. Ciężko mi było się do tego przyzwyczaić. Jasne, Warszawa, zwłaszcza plac przed Pałacem Kultury, była pełna meneli. Oni jednak mieli inną mentalność. Po prostu wrosli w krajobraz, tak jak pojedyncze drzewa czy ławki w kształcie otwartych książek. Natomiast wiejscy pijacy lubili się czepiać, a mnie zbierało się wtedy na mdłości.

Szybko robiłam zakupy, bo to, co kupiłam we Wdzie, mogło niebawem się skończyć. Kalafior, czereśnie za pół ceny, bo ostatni kilogram,

dwa jogurty (na skraj terminu ważności, urok wsi, cały czas sobie to powtarzałam), wiejski serek i chleb. Pożegnałam się uprzejmie i zgarnęłam to wszystko. Wypadłam ze sklepu jak wariatka i pomknęłam między drzewami skrótem, który poznałam, gdy byłam dzieckiem. Do tej pory poruszałam się piaszczystą ulicą, po której jeździły samochody letników. Idąc między ogrodzeniem domków a linią lasu, oddzielającego mnie od reszty wioski, przeskakiwałam przez wyrośnięte, wystające korzenie drzew. Szłam w cieniu, niespiesznie do momentu, gdy nie dochodził już do mnie gwar pijaczków. Podziwiałam okolicę i dziękowałam za chłodny wiatr, który muskał moje policzki i szyję. Oddychałam pełną piersią.

A potem westchnęłam z wrażenia. Mimowolnie dotarłam do jeziora. Przeszłam przez chaszcze, uważając, aby nie nadziać się na bujnie rosnącą tu pokrzywę. Bliskie spotkanie z tą rośliną zawsze kończyło się dla mnie gigantycznymi bąblami i nagłym, ostrym bólem, który wyciskał mi łzy z oczu. Wiem, że u większości tak to działało, ale ja wybitnie jej nienawidziłam.

Za złowrogą zieleniną rozciągał się zaśmiecony brzeg jeziora. Ziemia była tu grząska, podmokła — bez wysokich butów ani rusz. Poświęciłam swoje tenisówki na rzecz zaspokojenia ciekawości; przeskoczyłam na deski, prawie się z nich ześlizgując. Utrzymałam jakoś równowagę i wyciągnęłam szyję, aby znaleźć kolejny punkt zaczepienia. Przede mną roztaczał się piękny widok. Niczym niezmacona tafla jeziora odbijała w sobie świat — niebo, słońce, chmury oraz las okalający wodę — tworząc zupełnie nowy wymiar. Kolory były tak wspańiałe, że chciałam się w nich zanurzyć. Poczuć moc jeziora, która sprawiała, że włoski na karku stawały mi dęba. Takie właśnie były Bory. Niby zwykłe na pierwszy rzut oka — ale nosiły w sobie jakąś tajemnicę. Nie umiałam tego zrozumieć. Na razie nie chciałam.

Przeszłam na niestabilne, prowizoryczne moło, zbudowane ze wszystkiego, co znaleźli ówcześni budowniczowie Drewniane, zmurzane bale, kratka z dużymi oczkami, beczki, dzięki którym całość trzymała się na wodzie. Na końcu tej lichej konstrukcji dostrzegłam proste ławeczki — i tam się wybrałam. Usiadłam delikatnie, gotowa uciec,

gdyby wszystko zaczęło się walić do jeziora. Nie bałam się tego, umiałam pływać. Po prostu nie chciałam rozwalić prawdopodobnie jedynego „publicznego” mola. Nie zdążyłam jeszcze obejść terenu jeziora dookoła, ale byłam pewna, że nie było tu żadnej plaży — inaczej letnicy nie rozkładaliby dzieciakom basenów. Gromadziliby się na brzegu, grillując i rozmawiając o swoich sprawach. Zapach smażonych kiełbas byłby tak samo nie do zniesienia jak zawsze podczas podobnych miejskich spędów.

Wzięłam kolejny głęboki wdech. Poczułam różnicę między powietrzem tu a w Warszawie, znów zaśluchałam się w ciszy. Od niej aż dzwoniło mi w uszach. Przyzwyczajona od małej dziewczynki do dźwięków pociągów, samochodów, klaksonów i ludzkich głosów nieswojo czułam się na wolności, w odosobnieniu. Im dłużej siedziałam na brzegu, tym bardziej miałam wrażenie, że Bory chcą mnie pochłonąć — a ja z radością im się poddam. Nagle podskoczyłam w miejscu i odwróciłam się szybko na dźwięk łamanych gałęzi. Przerażonym wzrokiem szukałam źródła, z którego dobiegł nagły trask. Nikogo ani niczego jednak nie zobaczyłam. Choć w oddali przepływały piękne łabędzie, uciekłam stamtąd czym prędzej, o mało nie gubiąc kalafiora, który wypadł mi z siatki.

Wracając do domu, zgubiłam się tylko raz. Kluczyłam między domkami, próbując zrozumieć, gdzie się właśnie znalazłam. Szybko udało mi się znaleźć drogę przez niewielkie skupisko drzew. W pewnym momencie wyjęłam nawet telefon, złapałam zasięg. Skontaktowałam się z rodzicielką, dając jej znać, że u mnie wszystko w porządku. Nie chciałam długo rozmawiać. Mama to wyczuła i uszanowała. Chwała jej za to.

Gdy już miałam przechodzić przez najbliższą furtkę (miałam ich aż dwie!), jakiś pies doskoczył do mnie i zaczął szczekać. Przestraszyłam się — nie lubiłam obcych psów, w dodatku spuszczonej ze smyczy. Zwierzak po chwili zaczął mnie obwąchiwać i jak za sprawą magicznej różdżki zmienił swoje nastawienie. Zaczął się do mnie przymilać, oczekując na porcję głasków. Nieśmiało wyciągnęłam rękę.

— Pani się nie boi, to bydlę tutejsze jest. Zgrywa ważniaka przy ludziach, ale jedynie przez pierwsze pięć minut.

Odwrociłam się w stronę kobiety, która stała kilka kroków za mną. Uśmiechała się, oczy błyskały jej radośnie. Była duża, wręcz otyła. Chodziła w dawno niemodnej podomce. Dłonie miała brudne od jagód, które nazbierała do słoika. Trzymała go pod pachą. Wzdrygnęłam się na ich widok.

— Ale nam obrodziło w tym roku — mówiła, podchodząc bliżej. — I ludzi kupa, i jagód. Jeny tylko grzybków przybędzie, a będziemy bogaci. — Nieznajoma zaśmiała się nieprzyjemnie, ostro. — Słyszałam od tej sąsiadki więdźmy, że ty nowa. Że zostajesz podobno, a nie, jak ta zgraja, na wakacje tylko przyjechałaś. Ciekawe, ciekawe...

— Więdźmy? — zapytałam, nie rozumiejąc, o kogo dokładnie jej chodzi.

— Nooo, tej tamtej, Lipskiej. Ona często gada sama do siebie, to jak mam ją inaczej nazywać?

Zamrugałam. Miałam już wzruszyć ramionami, ale nie mogłam tego zrobić. Znów musiałam podrapać psiaka pod brodą. Nieznajoma cmoknęła.

— Ech, kundel mały, zawsze się pod nogami płącze. Ktoś by go przygarnął, ale każdy prawie już ma psa. Nikt już nie chce. Dokarmiam go, bo jak to inaczej, nie po bożemu. O!

Kobieta popatrzyła ponad moim ramieniem. Pomachała ręką do kogoś, kogo w pierwszej chwili nie rozpoznałam. Nie to, żebym znała już wszystkich stałych mieszkańców i letników — ale tego kogoś zapamiętałam doskonale. Wystarczyło, że się zbliżył.

Nic dziwnego, że wcześniej się pomyliłam. Leśnik, który wyciągnął mój samochód z hałdy piachu, wyglądał teraz zupełnie inaczej. Broda wyglądała jeszcze porządniej; musiał nad nią popracować. Był ubrany normalnie — nie w mundur, a w bojówki z wieloma kieszeniami, gruby pas, na którym miał zawieszoną nerkę, i w koszulkę z jakimś napisem po angielsku. Materiał opinał jego mięśnie, doskonale widoczne. Wysocki i postawny, od razu sprawił, że się zarumieniłam. Patrzył na mnie intensywnie, ignorując jakiekolwiek zasady. Dosłownie świdrował mnie wzrokiem, i to tak zapamiętałam, że aż się nieco odsunęłam.

Sąsiadka ucieszyła się na widok mężczyzny. Szerzej się uśmiechnęła, wyprostowała. Musiała go lubić, i to ze wzajemnością. Leśnik wyciągnął ręce do kobiety, pozwalając się jej przytulić.

— Wolne ci w końcu dali?

— Ba. Nie mogłem się doczekać tych trzech dni wolności. Pal sześc, że i tak mieszkam w leśniczówce i „przy okazji” załatwiam sporo rzeczy.

— Przepracujesz się! — Kobieta złapała się za serce, dodając słowom niepotrzebnej dramaturgii. — A przecież i tak robisz wiele. Na przykład drewno mi łupiesz, co nie?

— A jakże — potwierdził cichym głosem Kostek, widząc, że powoli się wycofuje. Znów na mnie spojrzał, na co wręcz wrosłam w ziemię. Nie było to typowe dla mnie zachowanie, ale nadal czułam mieszaninę lęku, frustracji i zawstydenia ze względu na okoliczności naszego ostatniego spotkania. Miałam nadzieję, że nie obgadał mojego przypadku z innymi kolegami lub strażą leśną. — Jak zwykle staram się pomagać damom w opresji.

Tu skłonił głowę w moją stronę, ale starsza kobieta zachichotała jak mała dziewczynka — była najwyraźniej przekonana, że mówi tylko o niej. Ja w lot pojęłam, że wręcz przeciwnie. Tiede doskonale pamiętał o mojej wpadce. Coś mi podpowiedziało, że kiedyś mi to wypomni. Parczył na mnie z nieokreślonym wyrazem twarzy. Zagryzłam wargi.

— Tiede! — zawołała sąsiadka, załamując brudne od jagodowych soków palce. Chyba nie lubiła, gdy leśnik ją ignorował. — Ja cię proszę, nie żartuj sobie. Ty dzisiaj po pracy przyjedź, drewno porąb, bo stary znów poszedł, no wiesz... — powiedziała konspiracyjnym szeptem, robiąc ruch, sugerujący, że jej mąż poszedł pić. — A ja sama jak mam porąbać? Jeszcze sobie nogę odrąbię!

Leśnik westchnął, ale uśmiech błąkał mu się po twarzy.

— Dobra, przyjdę, ale mogę być dopiero pod osłoną nocy. Ewelińskiej znów to przeszkodzi w smacznym śnie dla zdrowotności — powiedział, puszczając oko do seniorki. — Sąsiadka mnie będzie tłumaczyć.

— Jo. I aaa tam, Ewelińskiej po dziurkę w dupie już mam. Niech se gada! Ja muszę mieć to pocięte, bo mi się po placu wala. Uratuj mnie, panie leśniku, bo jak nie ty, to nikt!

— W porządku, w porządku — powiedział i uniósł dłoń. — Zrobię obchód po okolicy i przyjdę koło 22. Wcześniej nie dam rady.

Spojrzał na mnie znacząco, a ja zamrugalam, nie rozumiejąc, o co chodzi. Czekaj... Czy oni właśnie umówili się na seks?! Szczeka mi opadła. Jak? Serio? Czemu...? Jakby na potwierdzenie moich domysłów sąsiadka wydała z siebie krótkie: *och* i uciekła czym prędzej. Kostek doprowadził ją wzrokiem, po czym zwrócił się do mnie.

— Z autem wszystko w porządku?

Kiwnęłam twierdząco, ale nadal byłam zszokowana. Tiedego chyba to bawiło.

— Tak, jeździ. Myślałam, że już nie odpali, gdy dojechałam, ale nie mam żadnych problemów.

— Uff. Jeszcze trochę, a ta rozmowa byłaby krępująca — mruknął, sprawiając wrażenie, jakby naprawdę mu ulżyło. Więc jednak nie chodzi o seks...? Nadal nie mogłam zrozumieć, co właśnie się stało ze starszą sąsiadką.

Leśnik lustrował mnie, jakby pragnął przewiercić się do mojej duszy przez wszystkie tkanki. Nie bał się, że go ofuknę. Po prostu patrzył jak na dziwne zjawisko pogodowe.

— O co chodzi? — Nie mogłam się powstrzymać.

Uśmiechnął się lekko.

— O nic. Przepraszam najmocniej, po prostu wyciąganie pani samochodu będzie zawsze ciekawym wspomnieniem w mojej głowie. Nielatwo tutaj o takie atrakcje. Mówiła pani...

— Jagoda — przerwałam mu. W końcu może łaskawie je usłyszysz, a nie odwróci się bez słowa po przedstawieniu się.

— Mówiłaś, Jagodo, że ile zostajesz u nas?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem. Prawdopodobnie kilka miesięcy. Jeśli przeżyję jesień, będę rezydować tu także zimą. Może zostanie na zawsze.

Przez twarz leśnika przeszedł jakiś cień. Skrzywił się nieznacznie, ale szybko ukrył nietypowe emocje. Kiwnął głową powoli, jakby pokazywał, że przyjął to do wiadomości.

— Pójdę już — powiedziałam, chcąc uciec do w miarę bezpiecznej chaty. Byłam już zmęczona, zarówno przez robotę, jak i słońce.

— Dobrze, Jagodo. Gdybyś potrzebowała pomocy, daj mi znać.

Miałam ochotę prychnąć. Tiede wyprostował się i pożegnał zdawkowym gestem. Nie patrzyłam, jak znika między budynkami, po prostu uciekłam do domu.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
  2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
  3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# Las, miłość i tajemnica...

Jagoda Worytko porzuca Warszawę. Przed dotychczasowym życiem z jego kłopotami zamierza się ukryć w Borach Tucholskich. Może tu, w głębi lasu, zazna spokoju i odpoczynku? Cóż, jeśli Jagoda naprawdę pragnie uciec od problemów, mogła wybrać lepiej. Zabita dechami wioska w dziczy nie wita jej ciepło. Nie zapewnia jej też wytnienia ani odrodzenia. Ani tym bardziej bezpieczeństwa. Coś jest tu bowiem bardzo, bardzo nie tak.

O tym, że Smolniki to nie bajkowy koniec świata, a raczej miejsce pełne ponurych tajemnic, Jagoda przekonuje się szybko. I boleśnie — gdy opiera się o barierkę, która okazuje się przegniła lub... podpiłowana, i wpada do jeziora. Potem jest tylko dziwniej. Czy w wiejskiej świetlicy Jagoda naprawdę widzi trupa? Czy jej starsza sąsiadka Lipska jest jedynie nieszkodliwą starszą panią? A może, jak opowiadają miejscowi, to groźna wiedźma? Worytko czuje, że popada w paranoję. W utrzymaniu zdrowia psychicznego wcale nie pomagają jej romans z Kostkiem, przystojnym leśnikiem o intensywnie zielonych oczach...

## Patroni medialni:



Księgarnia internetowa:  
**<http://editio.pl>**



**Zamówienia telefoniczne:**

**0 801 339900**



**0 601 339900**

**Sprawdź najnowsze promocje:**

➔ <http://editio.pl/promocje>

**Książki najchętniej czytane:**

➔ <http://editio.pl/bestsellery>

Zamów informacje o nowościach:  
[▶ http://editio.pl/novosci](http://editio.pl/novosci)

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-8120-9



**Cena 39,90 zł**